

## O CO PROSIĆ PRZY SPOWIEDZI?

Wyraz 'grzech' nabrał niejednokrotnie błędnej konotacji jako przekroczenie jakiegoś formalnego przepisu. A przecież nie ma innych grzechów niż postęпки szkodzące innym ludziom lub nam samym. Gdy okradnę sąsiada lub go zwymyślam, robię krzywdę jemu (zresztą siebie też). Gdy się upiję lub zaniedbam modlitwy - krzywdzę bezpośrednio siebie (ale odbija się to i na innych). Grzech to po prostu zły uczynek. Można nasze złe uczynki klasyfikować na różne sposoby. Można je podzielić na przykład na takie trzy kategorie.

Pierwsza kategoria, to złe czyny popełnione celowo i świadomie. Weźmy taki przykład: ktoś mi kiedyś zrobił coś złego, czego mu do dziś nie potrafię wybaczyć, a oto się nadarza okazja, abym mu odplacił pięknym za nadobne, więc odplacam mu - „a niech popamięta!”. Wiem, że chrześcijanin nie powinien się mścić, ale się mszczy. Inne podobne przykłady świadomych złych postępków każdy sam może podać. Mało kto może się poszczycić tym, że w całym życiu nigdy nie popełnił tego rodzaju złego postępków.

Druga kategoria, to złe rzeczy wykonane z braku siły. Wiem, że to złe i nie chciałbym tego zrobić, ale mimo wszystko robię. Należą tu nie tylko postęпки wykonane z nałogów i namiętności, ale również liczne zaniechania właściwego działania. Na przykład: jestem w sytuacji, gdy mam możliwość i powinienem stanąć w obronie pokrzywdzonego. Wiem, że powinienem, ale nie potrafię się do czynu zmobilizować. Albo: obiecałem komuś coś zrobić. Wiem, że ten ktoś czeka, że dla niego to rzecz ważna, ale ja zwlekam dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem i nigdy tego nie zrobię. Chyba każdemu się zdarzały złe uczynki tego rodzaju.

A trzecia kategoria najliczniejsza, to złe czyny, których popełnienia w ogóle nie zauważamy. Zniszczyliśmy coś komuś potrzebnego, użyliśmy w rozmowie określenia raniącego kogoś, podjęliśmy w stosunku do kogoś niesprawiedliwą decyzję i nawet tegośmy nie zauważyli. Może ktoś powiedzieć, że zły postępek nieświadomiony nie jest grzechem. Otóż na pewno jest grzechem brak usiłowania rozwoju własnej świadomości. Wielcy święci zauważali swoje najdrobniejsze winy i to ich czyniło wielkimi.

\* \* \*

Chęcią towarzyszącą każdej dobrej spowiedzi jest: „nie grzeszyć więcej”, a więc „grzeszyć mniej”, a więc poprawić się. Postanowienie poprawy jest warunkiem odpuszczenia grzechów. A ponieważ wiemy, jak trudno o własnych siłach wyzbywać się złych przyzwyczajęń, więc postanowienie poprawy powinno się łączyć z modlitwą, z prośbą do Boga o pomoc.

Aby uniknąć świadomie popełnianych złych czynów, prosimy Boga o wzmocnienie naszego uczucia - poczucia moralnego, aby zespolone z sumieniem umiało nas w porę zniechęcić do nich.

Abyśmy umieli zawsze robić to, co uważamy za słuszne i co chcemy jako słuszne wykonywać, prosimy Boga o wzmocnienie naszej woli, abyśmy w krytycznych momentach umieli pokonać złe przyzwyczajenia i lenistwo.

Ażebyśmy widzieli jasno, kiedy popełniamy złe uczynki, prosimy Boga o wzmocnienie rozumu, aby podporządkowany świadomości dawał nam zauważyć nawet drobne nasze wykroczenia moralne.

Niech postanowienie poprawy przy kolejnej spowiedzi łączy się nie tylko z ogólnym westchnieniem o pomoc Bożą, ale z prośbą o rozwój tych trzech władz naszej duszy: uczucia - jako władzy centralnej, a także władz stojących na dwu biegunach: woli i rozumu.

brat Paweł

## ZMARTWYCHWSTAĆ Z CHRYSTUSEM

Friedrich Schiller w liście z 17. sierpnia 1795 roku do Wolfganga von Goethego napisał, że chrześcijaństwo jest religią *estetyczną*. Szło mu o przyjmowanie chrześcijaństwa w wolności, a nie w myśl katerycznego imperatywu sformułowanego przez abstrakcyjnego filozofa Immanuela Kanta w dewizie „Powinieneś”.

Zarazem widział w chrześcijaństwie pewien przejaw kobiecości w porównaniu z religią ojcowską, gdzie coś nad nami absolutnie panuje. W chrześcijaństwie - według niego - nastąpiło zniesienie różnic płci.

Przez fakt, że Najświętszy stał się człowiekiem, to co Boskie stało w jednym rzędzie z nami i ma być przyjmowane w pełnej wolności. Tak więc dane było przeminąć owym czasom, gdy się wymagało absolutnego, ślepego poddania wyższym światom. Przez Chrystusa otwarła się nowa epoka współpracy z Boskością w pełnej wolności. Gdy człowiek znajdzie właściwą postawę wobec tego faktu, ma zapewnioną trwałą przyszłość swej istoty.

Trzeba tylko dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, co usiłuje nam zrabować i pogrzebać własną samodzielność. Tylko wtedy pewne słowa Chrystusa nabierają mocy. Trzeba się odciąć (jakby mieczem) od powiązań pozbawiających nas wolności, takich powiązań jakimi się mogą stać więzy krwi.

A więc powstaje konieczność wytworzenia siły przeciwstawiającej się temu, co chce działać na nas przymusem. Podporządkowanie się przymusowi dla uzyskania pozornego pokoju prowadzi na bezdroża, bowiem w stosunku do obszaru Boskiego świata ma panować wyłącznie miłość.

Im lepiej się wczuję w moje własne prawdziwe człowieczeństwo, tym bliższy będzie mi Chrystus. I oczywiście nie ma już wtedy miejsca dla lekceważenia innych ludzi.

Żadna wrogość do współludzi lub w ogóle do tego, co istnieje na ziemi, nie da się pogodzić z prawdziwym chrześcijaństwem. Trzeba się zaprzyjaźnić z życiem. Również to co trudne i przykre zabierzmy ze sobą na drogę przemian.

Nie narzekajmy na powstałe w ten sposób obciążenia. Raczej się cieszymy z otrzymanego życiowego zadania. Miłość Chrystusową można zdobyć tylko praktykując ją samemu. Najlepiej wiodącymi do celu są wzajemne, wolne usługi.

Taka wzajemność występuje zwłaszcza tam, gdzie ludzie potęgują własne siły i zdolności w działaniu dla wspólnych celów. Trzeba przy tym ani nie usiłować włączyć innymi, ani nie pozwolić, aby inni nas opanowywali.

Niestety stale się jeszcze zbyt ociążamy, lub zbyt jesteśmy zapatrzeni we własne interesy. Potrzebujemy dopiero społecznego i ekologicznego wstrząsu, który by nas wreszcie skutecznie skierował ku świadomemu podjęciu wspólnych losów ludzkości i Ziemi.

Troska o ogólne cele całego stworzenia wymaga stałej troski o wzmacnianie własnej jaźni, gdyż stale pojawiają się wszelkiego rodzaju przeszkody wewnętrzne i zewnętrzne. Inaczej nie damy sobie rady z podstępami i przeciwnościami losu.

Jeśli zechcemy coś poruszyć tylko od zewnątrz, ale samym się nie zmienić, wywoła to zgola skutki niszczące. Niech zasadą chrześcijanina będzie: zapraszając innych do dzieła sam poprzeczam ich dobrym własnym przykładem.

I wtedy nie potrzebne są kazania o tym, co należy zrobić. Przykład powinien wystarczyć, aby pobudzić innych, żeby oni sami z siebie na wiele sposobów poprowadzili dalej dzieło przez nas podjęte.

Nie musimy też wcale czekać. Najwyższe jest właśnie tu, przyszło w pobliże wraz z Chrystusem.

On w istocie czeka, aby każdy z nas na nowo wybrał Jego, i impuls Jego miłości powiązał z codziennymi okolicznościami.

Niczego więcej nie potrzebujemy. Ważne, abyśmy to co ogólne wpajali coraz głębiej, w szczególności - aż do drobiazgów włącznie. Byłoby zgola nie po chrześcijańsku gdybyśmy liczyli tylko na coraz to wyższe przeżycia. Przeciwnie, oczekuje się od nas, że - nie zaniedbując kosmicznych rozważań - będziemy się brali coraz konkretniej za praktyczne szczegóły,

Można powiedzieć o człowieku, że jest zagęszczonym osoczem tego, co jest rozlane w przyrodzie. Przez naszą jaźń przemawia samo centrum ewolucji życia.

W tym znów tkwi podobieństwo tego, czym jest Chrystus dla Wszechświata. W Nim zstąpiło na Ziemię to, co zawiera całość kosmicznego dziania się. W Nim mamy do czynienia z rzeczywistym źródłem Tworzenia.

Dlatego nie jest najważniejszą naszą wiarą w Pismo, czy się ono nazywa Biblią, Koranem, czy jeszcze inaczej. Dla chrześcijaństwa jest istotne, że nastąpiło uczłowiczenie Boga. Przez trzy lata działała na Ziemi Istota, powiązana z powstaniem całego Kosmosu.

Pomiędzy chrztem w Jordanie i Misterium Golgoty działał tu w widoczny sposób Świat Boży. I nie jest przesadą stale podkreślać, że było to wydarzenie, którego oczekiwała cała poprzedzająca historia Ziemi.

Co przyniósł Chrystus, to może powstać znów - zawsze na nowo. Cała przyszłość ma służyć temu, abyśmy - my ludzie - coraz silniej się wiazali z tym, co On przyniósł. Umożliwiła to Jego śmierć.

Blaise Pascal sformułował tę myśl tak: To że chrystus stał się prawdziwym człowiekiem staje się dobitnie jasne wskutek Jego śmierci. Pozbawił się wszelkich Boskich cech, aby się w pełni zjednoczyć z ziemską ewolucją i dla niej się ofiarować.

Wraz z nami może powstać i wnieść się to, co z Chrystusem zstąpiło z kosmicznych dali. Boży świat wyszedł nam na przeciw , włączył się w los ludzki, abyśmy dalej razem z nim kroczyli.

Można niewątpliwie dojrzeć głębszy sens w tym, że Chrystus zstąpił na Ziemię właśnie w Palestynie, gdzie się stykają wpływy azjatyckie, afrykańskie i europejskie. Był tu czynny wschodni prąd duchowy, wspólnie z uciwkiem prądem cielesnym działającym jako osłona macierzyńska. Potrzebna była też czułość duszy. Ta ostatnia związana jest przede wszystkim z Europą, która się przygotowywała, aby przyjąć Chrystusa jako działającego w całym świecie.

Z początku w historię został wpojony niezmiernie mocno obraz Chrystusa Ukrzyżowanego.

Ale to przeszłość. Współczesność i przyszłość może się budować tylko na Chrystusie Zmartwychwstałym. Dlatego trzeba pilnie zważać, gdzie się pojawiają odpowiednie do tego impulsy.

A mogą się pojawiać gdziekolwiek w świecie, gdzie rządzą poprawne stosunki międzyludzkie, bo prawdziwe chrześcijaństwo nie jest związane z żadnym określonym miejscem, określoną kulturą lub innymi zewnętrznymi okolicznościami. Zgodnie z losem Ziemi - realizuje się ono tam, gdzie panują życziwe stosunki międzyludzkie.

Niezmiernie znaczący jest nasz stosunek do potknięć i wszelkich zabłądzeń. Wystarczy wspomnieć ewangeliczną przypowieść o zagubionej owcy, której należy szukać.

Wielka jest wspólna radość i wspólne wzbogacenie jej odnalezieniem. Nikogo nie wykluczamy choćby popadł na błędne ścieżki. Właśnie po to pojawił się Chrystus, aby nas naprowadzać na proste.

Jeśli się sobie uczciwie przyjrzymy, to widzimy, jak stale w życiu społecznym popełniamy błędy. Nie usiłujmy tego maskować. Raczej korzystne będzie przyrzeć się rozpadlinom, których nie potrafiliśmy przebyć, aby obmyśleć środki dla znalezienia w każdej sytuacji drogi do Chrystusa.

Świadomość niedoskonałości, której skutki przejawiają się w rozłamach, czy w inny sposób, jest konieczna dla skutecznego uproszenia pomocy. Najłatwiej dojść do Chrystusa, gdy jesteśmy realnie świadomi swoich braków.

Jego ofiara polega przecież na tym, że On wszedł w nasze niedostatki i nieszczęścia. Jeśli nie zawiedzimy Go, jeśli się usiłujemy zmagać z trudnościami, wtedy coraz wyraźniej Go odczuwamy. Wtedy On się objawia przy nas.

*Anton Kimpfler*

z niemieckiego tłumaczył brat Paweł

## O KARDYNALE NEWMANIE I PAPIEŻU LEONIE XIII

Kardynał John Henry Newman to dla wielu Europejczyków po prostu reklamowa postać prozelityzmu rzymskokatolickiego - ksiądz anglikański, który został rzymskim kardynałem, zaś papież Leon XIII to jeden z kierowników Kościoła Rzymskokatolickiego w XIX-wiecznej mrocznej epoce. Dla współczesnego mariawity, nie wychodzącego zainteresowaniami poza swój własny Kościół, te imiona znaczą często jeszcze mniej.

Zapomnieliśmy już, że Leona XIII nazywano ongiś mariawickim papieżem, że pierwszy mariawici z szacunkiem przechowywali jego podobizny. Bo przecież działaniom Leona XIII mariawici zawdzięczają swoje zaistnienie, zaś kardynała Newmana można śmiało zaliczyć do jednego z poprzedników, a nawet proroków mariawityzmu. Im bardziej się przyglądam tym obu postaciom, tym bardziej odczuwam ich bliskość. Myśląc

o dziwnych losach Newmana zastanawiałem się, czy w mariawickim piśmie wypada wychwalać kardynałów i rzymskich papieży, ale w końcu postanowiłem napisać coś o tym wszystkim do „Pracy”.

John Henry Newman, syn londyńskiego bankiera, urodzony w roku 1801<sup>1</sup> miał w piętnastym roku życia Boże objawienie. Objawienie było całkiem osobiste. Nie wyjawił nikomu szczegółów jego treści. Przyznawał się tylko, że je miał i że ono stało się podstawą jego poglądów i planów życiowych. Postanowił służyć Bogu. Chcąc poznać wczesne chrześcijaństwo odwiedził - jako młodzieniec - Rzym i wrócił stamtąd pełen przerażenia. Nie tylko nie znalazł śladów impulsu Chrystusowego, ale Rzym nie okazał się mu nawet wystarczająco dostojnym muzeum chrześcijaństwa. Przypominał raczej targowisko świętości. Opuścił Rzym wcześniej niż pierwotnie zamierzał, zachorował ciężko na Sycylii i wtedy powziął decyzję pracy dla Boga nie w podróży ale w ojczyźnie. Odbył studia teologiczne, został wyświęcony w Kościele Anglikańskim na kapłana i pełnił kapłańską powinność jako proboszcz parafii Świętej Maryi w Oksfordzie oraz od 1831 roku jako kaznodzieja uniwersytecki.

Kościół Anglikański był wtedy instytucją poważną i ustabilizowaną. Światłe duchowieństwo trwające w dobrych obyczajach służyło tradycyjnie królowi, swoim rodzinom, w znacznej mierze parafianom, a przy okazji również Bogu. W kościele panowała formalna uczciwość, prawie się nie zdarzały skandale obyczajowe. Wszystko ujęte było w szanowane i praktykowane, niezmiennie zwyczaje wypływające z tradycji. Zarazem trudno się było doszukać pod skamieniałą tradycją chrześcijańskiego życia. W owym czasie wielu anglikańskich duchownych traktowało treści ewangeliczne nieomal na równi ze starożytnymi mitami, zaś prawdy wiary przyjmowano jako obowiązujące, ale umowne slogany. Newman zaś żył tymi prawdami. Kościelne nauki Newmana oraz jego licznie publikowane rozprawy teologiczne wyróżniały się prostymi słowami, językiem wynikającym nie z tradycji, ale z serca. Szybko zyskał grono przyjaciół, stałych słuchaczy i uczniów. Mówił o braku życia mistycznego w Kościele. Zło widział w indyferentyzmie religijnym.

Z początku istnienie młodego kaznodziei, który potrafił rozpałać serca wiernych, zwierzchnicy kościelni przyjmowali z zadowoleniem, potem tylko go tolerowano, a gdy jego nauki zaczęły dotykać tego, co uważano za podstawy porządku kościelnego, wystąpiono przeciw niemu.

W roku 1841 oceniono oficjalnie jako błędny jeden z jego opublikowanych traktatów. Newman zgodził się traktat wycofać, zaprzestać jego rozpowszechniania, zaprzestać publikowania dalszych prac, ale odmówił odwołania opublikowanych już tez. W konsekwencji musiał porzucić dotychczasowe stanowisko kościelne i przenieść się w roku 1843 do małej wioski Littlemore, gdzie w spokoju pracował nad dziełem *Rozwój nauki chrześcijańskiej*. Prowadząc studia i rozważania o istniejących kościołach doszedł do wniosku, że pięknie uporządkowany anglikanizm jest tworem obumierającym, podczas gdy w katolicyzmie istnieje wprawdzie powierzchowna, odrzucająca warstwa brudu moralnego, ale głębiej wciąż tkwi jeszcze prawdziwe życie duchowe - realna mistyka. Powoli dojrzewała w nim decyzja zostania katolikiem. Był rok 1845, ósmy rok rozkwitającego zaklamania obyczajowego towarzyszącego panowaniu Królowej Wiktorii. Przejeżdżającego włoskiego księdza zaskoczyła prośbą o błogosławieństwo, spowiedź i przyjęcie do Kościoła Rzymskokatolickiego. Prośba została spełniona.

Odbył znowu podróż do Rzymu. Został przyjęty przez samego papieża Piusa IX i otrzymawszy ponownie święcenia kapłańskie (anglikańska sukcesja apostołska jest poddawana w wątpliwość przez Rzym), od roku 1847 objął stanowisko superiora Oratorium Świętego Filipa Neri w Birmingham, gdzie piastował do śmierci. Spora grupa świeckich i duchownych anglikanów, idąc w jego ślady przyjęła również katolicyzm.

W tym miejscu dla powierzchownych historyków kościoła kończą się budzliwe dzieje Newmana i zaczyna jego tryumfalna rzymska kariera. Dla czytelników „Pracy” będą może jednak ciekawe okoliczności dalszych lat jego życia. Otóż ksiądz John Henry Newman całe życie walczył o możliwość przyniesienia chrześcijanom żywych przeżyć mistycznych w miejsce skostniałych, tradycyjnych, powierzchownie tylko traktowanych obrzędów. Jako duchowny katolicki natychmiast wznowił wysiłki w tym kierunku. Gdy przez siedem lat (1851 - 1858) był rektorem nowozałożonego Uniwersytetu Katolickiego w Dublinie (Irlandia była wówczas pod zaborem angielskim), popadł w konflikt z tradycjonalistycznymi biskupami irlandzkimi i po zakończeniu kadencji musiał wrócić do Anglii. Dla rzymskiego kleru działającego w Anglii - również tradycyjnie nastawionego - sytuacja była kłopotliwa. Z jednej strony świeżo nawrócony ksiądz anglikański był znakomitą postacią „na plakat”, z drugiej - jego nauki znów burzyły spokój angielskiemu klerowi i hierarchom, tym razem - rzymskokatolickim. Przeciw księdzu Newmanowi również tu powoli narastał sprzeciw. Przywódca przeciwników stał się możny angielski kardynał Manning.

Ale oto nastąpił w samą porę pontyfikat Leona XIII. O tym papieżu bywała już mowa w „Pracy”<sup>2</sup>. Tu tylko przypomnę w kilku słowach, że był to ostatni papież, który dbał przede wszystkim o umacnianie duchowej głębi Kościoła, o rozwój życia mistycznego opartego na Eucharystii, a dopiero na drugim miejscu również o rozwój Kościoła wszzer. To Leon XIII zdecydował dać pełnomocnictwa św. Honoratowi do zakładania skrytych zgromadzeń zakonnych na terenie Królestwa Kongresowego; zgormadzeń, których formalna postać organizacyjna przeczyła tradycjom monastycznym, za to treść odpowiadała ówczesnym potrzebom życia religijnego. To dzięki tym decyzjom mogli się

W oryginalnym zeszycie tu były ilustracje. Oryginałów redakcja już nie posiada

*Z lewej: mało znany portret J.H.Newmana z roku 1844, gdy mieszkał w Littlemore. Z prawej: obrazek z portretem Leona XIII, który mi ongiś podarował spod serca pewien mariawita pamiętający jeszcze Mateczkę.*

mariawici zawiązać w zgromadzenie niedługo po objawieniu Dzieła Miłosierdzia. To jego encyklika o Przenajświętszym Sakramencie miała sformułowania zgodne z wcześniejszymi objawieniami Mateczki, choć on tych objawień nie czytał. Stanowisko księdza Newmana pokrywało się z ideami tego wielkiego papieża.

Ataki na nauki Newmana Leon XIII odparował w bardzo prosty, a zarazem skuteczny sposób. Zamiast rozpatrywać szczegóły zarzutów wysuwane przez kardynała Manninga, przychylił się do śmiałej prośby grupy nowych angielskich katolików i zaraz, w drugim roku swego pontyfikatu, siedemdziesięciodwuletniego księdza Newmana mianował kardynałem. Opozycja pojęła intencję decyzji papieskiej i zamilkła.

Jeszcze przez 10 lat po nominacji działał kardynał Newman jako kaznodzieja i pisarz. Jego dzieła opublikowane po śmierci w 37 tomach przypominają stale na nowo realność istnienia świata duchowego. Kto - tak jak Newman - miał choć raz w życiu przeżyć pozazmysłowe, ten nigdy nie zwątpi o realnym istnieniu światów wyższych: „Świat którego nie widzimy, jest tak samo prawdziwy, jak świat, który widzimy. *Obok tego świata - Wszelchświata widzialnego jest inny świat tak samo blisko nas ale od widzialnego wspanialszy*”. Pisał, że bez świadomości istnienia tego świata nie istnieje realne życie religijne. Ale ta świadomość niknie i to grozi strasznymi skutkami: „*Widzę, że po mojej śmierci przyjdą czasy, w których tylko wierzchołki gór pozostaną widoczne ponad wodną pustynią... Następnę i ponastępnę pokolenie przeżyje straszliwe czasy. Diabeł został rozwiązany.*” Jaki widział ratunek dla Kościoła i dla świata? Oczekiwał przyjścia potężnego objawienia Bożego, które da siłę Kościołowi do powstania.

Swoje osobiste objawienie przeżył w sierpniu 1816, w sierpniu też zmarł - 19 dnia tego miesiąca w roku 1890, niespełna trzy lata przed, sierpniowym objawieniem w roku 1893 Dzieła Wielkiego Miłosierdzia, które zaistniało w tymże Rzymskokatolickim Kościele, którego członkiem on stał się z własnego wyboru, Kościele, który otrzymał szansę relizacji Dzieła Bożego.

*były student*

<sup>1</sup> Wszystkie daty i podstawowe fakty wzięłem z artykułu Gustava Sichelschmidta *Aus Schatten und Bilder zur Wahrheit* w „Die Christengemeinschaft” Nr 6/2004 s.314.

<sup>2</sup> O papieżu Leonie XIII pisał na przykład Ignacy Stobiecki w artykule *Dlaczego Rzym rozwiązał Zgromadzenie Mariawitów*: w zeszycie 23 „Pracy nad sobą” s.31 (2001)

## **DWUGŁOS O SZANOWANIU RODZICÓW**

### ***POSZANOWANIE PRZODKÓW***

*Czcij ojca twego i matkę swoją, aby przedłużone były dni twoje na ziemi, którą Pan Bóg da tobie (Wyjścia 20,12)*

Udokumentowanych pisemnie przesłanek wskazujących na owieczny nakaz czci okazywanej starszym, można się doszukiwać już w sumeryjskich *Wskazówkach Szuruppaka dla jego syna Ziusudry*. Nauki tam zawarte dotyczą poszanowania nie tylko matki i ojca, ale także starszego rodzeństwa<sup>1</sup>. Naród Wybrany, wywodzący się z krain przedtem zamieszkałych przez Sumerów, znał zapewne od początku zasady nakazujące cześć dla przodków. Nie była ona bowiem obca i na terenach późniejszej Mezopotamii, w której potężny król - prawodawca Hammurabi (współczesny Abrahamowi) starał się w kodeksie nazywanym od jego imienia

naadać jej prawne regulacje. Unormowania prawne, zawarte w tym kodeksie, miały nie tylko sankcjonować patriarchalny charakter rodziny starobabilońskiej, ale też ograniczać rozległą władzę ojca rodziny dla zapobieżenia jej nadużyciu. Patriarchalny system władzy w rodzinie, sytuujący ojca na wysokiej pozycji społecznej, nie pomijał także i pozycji matki, zapewniając jej określone gwarancje prawne<sup>2</sup>. Rodowi Abrahama nie obce były regulacje prawne Hammurabiego i stosował je zapewne w praktyce. Rodzina hebrajska, stanowiąca wspólnotę i jedność, miała więc skąd czerpać wzory. Kamieniem węgielnym tej wspólnoty był szacunek dzieci dla rodziców. Dlatego czwarte przykazanie Dekalogu, danego Mojżeszowi przez Boga dla Narodu Wybranego, nie mogło stanowić dla niego *novum*. Przykazanie to potwierdzało tylko stan faktyczny - obowiązek poszanowania przodków, nadawało mu wartość religijną. Rozwinięcie czwartego przykazania dekalogu znajdziemy na różnych stronach Starego Testamentu, w naukach podkreślających nakaz słuchania ojca oraz poszanowania jego i matki (na przykład: 1.Moj 44:22, 5.Moj 27:16; Przyp. 23:22). Występki przeciwko ojcu i matce były traktowane w Narodzie Wybranym jako zbrodnie - używając aktualnej terminologii (porównaj: 2.Moj 21:15, Przyp.28:24). Wykonanie w praktyce nakazów religijnych przez Izraela zapewniało rodzinie hebrajskiej zwartość i solidarność, które się niejednokrotnie przyczyniały do sukcesów ziemskich Narodu Wybranego. Rodzina w Izraelu była podstawową komórką społeczeństwa, kamieniem węgielnym całej budowy. W starożytności rodzina stanowiła część plemienia. Praktycznie wykazywała społeczną przdatność na co dzień. Należy jednak pamiętać, że rodzina w narodzie żydowskim miała jeszcze inne, ważne znaczenie. Oto służba dla Jehowy była związana z istnieniem rodziny. Nadto, to właśnie instytucja rodziny legła u podstaw potęgi Narodu Wybranego, zanim się jeszcze uformowało państwo żydowskie. W czasach Jezusa Chrystusa rodzina izraelska nie była już tak zwarta, jak dawniej, ale nadal odgrywała ważną rolę<sup>3</sup>. Dlatego Chrystus kontynuując i rozwijając nauki starotestamentowe, podkreślał ważność obowiązku czci dla rodziców (Mat.15:4-6).

Historia wykazuje, że wiele starożytnych narodów było rządzonych przez rady starców, od których opinii lub decyzji zależały istotne rozstrzygnięcia danej społeczności ludzkiej. Przez starców niekoniernie rozumiano zespół ludzi zaawansowany wiekowo. Często była to grupa posiadająca doświadczenie życiowe i wybijająca się ponad przeciętność w danym zespole ludzkim. Rady starców w przeniesieniu na stosunki plemienne lub państwowe zasady rządów patriarchalnych w rodzinie. Poszanowanie starszych w rodzinie lub w plemieniu było analogią do ustroju patriarchalnego. Wynikiem takiego układu stosunków społecznych był praktykowany w społecznościach kult przodków. W społeczeństwach nowszych opisany kult i poszanowanie sprowadzały się do węższej, określonej roli starszych w rodzinie wielopokoleniowej, żyjącej w symbiozie. Jeżeli nawet z upływem czasu rola starszych - jako decydentów o sprawach rodziny - malała, nie zniknęły ani więzy rodzinna ze starszymi, ani zasada poszanowania przodków. Dopiero burzliwe przemiany społeczne następujące w świecie XX wieku złamały zasadę więzi rodzinnych i odsunęły - jako przestarzałą - zasadę poszanowania przodków. Powoduje to określone nieprawidłowości społeczne i kryzys rodziny. W dalszej konsekwencji grupa ludzi zaliczona do „starszych” (kryteria są różne) często zostaje pozostawiona sama sobie. Mamy tu swego rodzaju formę wyrzucenia pewnej grupy społecznej z życia publicznego. Odrzućmy przeżywają kryzys duchowy i fizyczny. Wraz z takim odrzuceniem mamy do czynienia w końcowych przypadkach z dręczeniem ludzi starych. Takie sytuacje są zaprzeczeniem zasad religii, kultury i cywilizacji. Nad powodami tego stanu rzeczy warto się zastanowić.

Znaczący temat, analizując powody zaniku więzi rodzinnych i poszanowania przodków (tak zwany *zanik korzeni*), wymieniamy między innymi: szybkość rozwoju cywilizacyjnego ludzkości, globalizację światową, odrzucenie czynników, które osłabiają możliwość awansu człowieka, osłabienie oddziaływania religii na życie ludzkie. Nie oceniając tych przesłanek, można stwierdzić jedynie, że odrzucający więzy rodzinne zapominają o ważnym elemencie składającym się na życie człowieka. Pomijają wpływ czasu i wynikający z niego wniosek, że każdy człowiek ma szansę stać się *przodkiem* swych potomnych i wtedy czeka go takie samo odrzucenie, jakiego on dokonał w stosunku do swych przodków. Egoistyczny sposób na życie własne może z biegiem lat zawieść i obrócić się przeciw praktykującemu takie życie. Abstrahując więc od innych przesłanek (szczególnie religijnych), człowiek współczesny winien pamiętać, że odrzucając więź z przodkami, sam gotuje dla siebie fatalny los w przyszłości.

Religia nakazuje poszanowanie dla przodków. Człowiek wierzący nie powinien uważać, że po uzyskaniu pełnoletniości lub samodzielności gospodarczej jest zwolniony od troski o starszych rodziny. Troska ta obecnie nie będzie się przejawiała w sposób charakterystyczny dla wieków minionych. Ma ona obecnie inny charakter i zakres. Powyższe wywody pozwalają na wyprowadzenie wniosku, że pod hasłem czci ojca i matki kryje się głębszy sens. Do podmiotowego zakresu poszanowania starszych należy bowiem włączyć nie tylko rodziców w sensie ścisłym, ale także wszystkich przodków - dziadów i pradziadów. Nie będzie błędem, gdy uznamy, że szanowani powinni być wszyscy starsi w rodzinie (rodzie), w tym i powiązani więzami rodzinnymi członkowie bocznych linii danego rodu. W konsekwencji poszanowanie należy się wszystkim starszym członkom społeczeństwa. Zasada ta obowiązywała w wielu

kulturach i w różnych epokach dziejów ludzkości. Winna być ona także obecnie podstawą życia społecznego.

Szacunek dla starszych nie jest tylko archaicznym wymogiem, lub kwestią tylko religii. Poszanowanie osób starszych nie może wynikać jedynie z tradycji lub dobrego tonu. Należy pamiętać, że instytucja przodków dawała nie tylko oparcie rodzinie, ale wykazywała korzenie rodziny, stanowiła ciągłość kulturową i pozwalała spoglądać na społeczeństwo jako na zbiór powiązanych ze sobą rodów. Poszanowanie starszych to wypełnienie także jednego z wymogów stawianych człowiekowi przez Boga. Nie wymaga ponadto dowodu teza, że bez przodków nie byłoby nas na ziemi. To ich wysiłkiem zostały nadto stworzone podstawy do postępu ludzkości czerpiącej z dorobku myśli ludzkiej wypracowanego przez wieki.

Mateczka w *Trzydniowych rekolekcjach*<sup>4</sup> określając obowiązki względem rodziców (i starszych także) nakazywała rozpamiętywanie naszych zachowań w następujących pytaniach:

1) czyś był posłuszny twoim rodzicom i starszym, którzy postawieni są nad tobą we wszystkim, co nie jest grzechem?

2) czyś nie życzył im złego i nie pragnął ich śmierci?

3) czyś nie mówił hardo i ze złością lub co gorsza, czyś nie przeklinał i nie uderzył ich?

4) czyś pielęgnował ich w chorobie; czyś nie żałował im utrzymania, gdy byli starzy i czyś nie zmuszał ich do ciężkiej pracy?

5) czyś nie szydził i nie wyśmiewał się z rodziców i przełożonych, nie obmawiał ich przed innymi i nie szemrał na nich?

W pytaniach postawionych przez Mateczkę mieści się bez wątpienia esencja tego, co nazwiemy poszanowaniem przodków. Pamiętajmy, że Naród Wybrany był silny jednością rodziny i to pozwalało mu zająć stosowne miejsce w świecie antycznym.

brat Józef

<sup>1</sup> Marian Bielecki - *Zapomniany świat Sumerów* - Warszawa 1969 s. 318 i następn.

<sup>2</sup> Josef Klima - *Prawa Hammurabiego* - Warszawa 1957 s. 162-173.

<sup>3</sup> Marian Filipiak - *Problematyka społeczna w Biblii* - Warszawa 1985 s. 170 i nast., Hegel - *Wykłady z filozofii dziejów* - Warszawa 1958 t.I s.299, Daniel Rops - *Życie codzienne w Palestynie w czasach Chrystusa* - Poznań - Warszawa - Lublin 1964 s. 160 i następn.

<sup>4</sup> *Trzydniowe rekolekcje parafialne napisane przez Mateczkę w 1912 r.* - Płock 1924 s. 46.

## SZACUNEK DLA RODZICÓW

[Chrystus] do [...] innego powiedział: *Pójdź za mną! Ten odparł: Panie, pozwól mi najpierw odejść i pochować mojego ojca. Odpowiedział mu: Umarzym pozostaw grzebanie ich umarłych, ty natomiast idź i głos Królestwo Boże.* (Łukasz 9:59-60)

W przeciwieństwie do tradycyjnych nauk religijnych i moralnych podkreślających wagę związków krwi, wagę świadomości zbiorowej, rodzinnej i narodowej, Chrystus głosił wartość człowieka jako jednostki. Dał podstawę pod wyzwolenie jednostki ludzkiej z więzów narodowych i rodzinnych. Pięknym symbolem tego stało się od wczesnych czasów Kościoła, że przy chrzcie rodzice przekazują swoje potomstwo pod opiekę rodziców chrzestnych<sup>1</sup>. Mówią niejako: „Odtąd zrzekamy się władzy nad dzieckiem. Członkowie rodziny chrześcijan niech przejmą naszą władzę rodzicielską”. Jeszcze silniej przedstawiało się to oderwanie od więzów rodzinnych, jeśli młody człowiek chcił się wbrew woli rodziców, co się w pierwszych wiekach chrześcijaństwa często zdarzało.

O ile wszystkie religie nakazywały dotychczas absolutne posłuszeństwo ojcu, o tyle Chrystus wskazywał na Ojca Niebieskiego >>*Nikogo na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem. Jednego bowiem macie ojca, Tego z niebios*<< (Mateusz 23:9). Dlatego, gdy Franciszek z Asyżu zwrócił swoje ubranie ojcu i wymówił mu posłuszeństwo, miejscowy biskup nie skarcił go, ale przyjął pod swój płaszcz. Zresztą i Ojca Niebieskiego i Jego Syna - Chrystusa, należało słuchać nie ze strachu lub ślepej powinności, ale w miłości,

O ile wszystkie poprzednie religie były religiami narodów (Sumerów, Żydów, Fenicjan, Greków, Rzymian, i t.d.) o tyle religia chrześcijańska była od początku religią międzynarodową. To była w świecie zupełna nowość. >>*Nie ma już Żyda ani Greka*<< jak pisał Paweł Apostoł

(Galatów 3:28) - jesteście chrześcijanami, jednąą ponadnarodową. W tym tkwi siła chrześcijaństwa..

Ten temat można by rozwijać, pokazywać przykłady jak z biegiem rozwoju chrześcijaństwa jednostka wyzwalała się spod więzów narodowych i rodzinnych, ale też jak przeciwnie siły usiłowały i do dziś usiłują stale na powrót wpajać w chrześcijańskie już społeczeństwa fanatyzmy narodowe (aż do ludobójstwa) i rodzinne (aż do zniewolenia rodziny przez jej „patriarchę”). Tu chcę się jednak zająć czymś innym. Chcę mianowicie postawić pytanie czy wyzwolenie z więzów rodzinnych i narodowych ma nas uczynić wrogami życia rodzinnego, wrogami kultury i tradycji narodowej? Pewne wersety Pisma Świętego bywają i tak tłumaczone, ale czy słusznie?

Mówiąc o więzach myślimy na ogół o takich, które nam utrudniają życie, utrudniają rozwój jednostkowy. Ale przecież bez powiązań, bez więzów nasze życie czy to fizyczne, czy duchowe byłoby niemożliwe. Są więzy utrudniające, są więzy umacniające. Czy możemy normalnie funkcjonować w dzisiejszym świecie bez powiązania z siecią elektryczną, telefoniczną, z siecią dróg, z bankowością, skarbowością...? Już sama wygoda własna wskazałaby nam, że mają dla nas pozytywne znaczenie również powiązania rodzinne i narodowe. Nie poniechajmy tego praktycznego argumentu. Wyobraźmy sobie, że nie dbamy o własną wygodę, że jesteśmy idealnymi chrześcijanami, którzy pragną nie z przymusu, ale z własnej wolnej woli wiernie służyć Ojcu Niebieskiemu, zaś innych ludzi nie oceniają ani według możliwej własnej korzyści, ani według pokrewieństwa, rasy, czy narodowości. Co wtedy? Jeśli chcemy służyć możliwie idealnie Bogu, to w wyborze naszego środowiska, naszych współpracowników, przyjaciół i współmałżonków będziemy się starać stosować do tego, czego On od nas oczekuje. Niestety, często trudno nam dokładnie zrozumieć, jakie są życzenia Boże w stosunku do osób które sobie dobieramy do takich czy innych współdziałań. Tam gdzie sami sobie wybieramy ziemskie otoczenie, tam - przy najlepszych chęciach - możemy pobłądzić. Ale właśnie rodzice nie są wybierani przez nas tu na ziemi. Jest wolą Opatrzności, abyśmy mieli takich właśnie rodziców, jakich mamy. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Tu nie działa nasza ziemska wola, ale niebieska.

Jeśli mamy rodziców dobrych, moralnych, prawdziwych chrześcijan, którzy nas dobrze wychowali, wpoili w nas dobre przyzwyczajenia, dali dobry przykład, to powinniśmy ich kochać i okazywać praktyczną wdzięczność, choćby jako dla tych członków społeczności chrześcijańskiej, od których otrzymaliśmy dary nieocenione.

Jeśli mamy rodziców złych: ojca pijaka, który nas porzucił, matkę złodziejkę, która nauczyła nas najgorszych przyzwyczajzeń, to i w tym powinniśmy widzieć wolę Opatrzności. Pewnie Bóg uważa nas za na tyle silnych, że daje nam w „ziemskiej szkole” trudniejsze zadanie niż innym „uczniom”. Mamy o własnych siłach, sami się wychowywać, pracować nad sobą. Przewyciężać to złe, co wynieśliśmy z domu, mamy się mimo wszystko stać nienajgorszymi ludźmi. A tych niedobrych rodziców mamy szanować jako narzędzia woli Bożej względem nas. Gardząc nimi, gardzilibyśmy wolą Boga.

Szacunek nie oznacza absolutnego poddaństwa. Sprzeciwienie się woli Boga, odrzucenie właściwego powołania życiowego jest grzechem. Jeśli rodzice utrudniają nam pełnienie tej woli, możemy im wymówić posłuszeństwo. Ale to nie znaczy, abyśmy mogli zaniechać szacunku do nich i nie pomagać im, gdy naszej pomocy potrzebują. W trzydniowych rekolekcjach mariańskich ułożonych pod redakcją i przy współpracy Mateczki jest powiedziane >>*czyś był posłuszny twoim rodzicom [...] we wszystkim, co nie jest grzechem*?<<<sup>2</sup> Byłoby grzechem, gdyby Franciszek z Asyżu nie wypełnił swojego powołania. Święty Franciszek porzucił ojca i nie wrócił do niego. Nie potrzebował, bo ojciec był dobrze urządzony w życiu. Gdyby jednak nie miał znikąd opieki, czy możemy sądzić, że święty Franciszek o tę opiekę by nie zadbał?

Jako wolna jednostka chcemy się cieszyć szacunkiem innych i mamy prawo do tego. Nawzajem powinniśmy innych otaczać szacunkiem. Oprócz rodziców dotyczy to zwłaszcza naszych zwierzchników (nie tylko przełożonych zakonnych). W wyborze naszego zwierzchnictwa mamy trochę udziału sami, trochę jest to sprawa losu. W tym cośmy sami wybrali powinniśmy być konsekwentni, a w biegu losu uszanować wolę Opatrzności. Na drzwiach pewnego dyrektora ktoś dowcipny przykleił małą, ale dobrze widoczną naklejkę >>*Szanuj szefa swego; możesz mieć gorszego*<<. To jest prawda. Do nielubianego ongiś szefa można czasem zatęsknić, gdy po nim nastąpi nowy, gorszy. Jest dziś moda narzekania na wszystko. Dobrze jest ćwiczyć zadowolenie z istniejącej sytuacji. Czasem jest dobrze lubić to co się ma. Oczywiście szacunek dla szefostwa nie oznacza niewolniczego poddania.

Nigdy nie powinienem być fanatykiem własnego narodu - nacjonalistą. Ale powinienem i pod tym względem uszanować wolę Boga, że się urodziłem w tym a nie w innym narodzie. Nawet jeśli okoliczności pozwolą mi wyemigrować i zapaść korzenie w społeczeństwie odległym od mojego, to co otrzymałem jako urodzony członek danego narodu zawsze pozostanie podstawą mojej osobowości. Swojemu narodowi, jego światłym postaciom powinienem więc i w myślach i w czynach okazywać szacunek. Powinienem szanować jego kulturę. Powinienem zdawać sobie sprawę z pozytywnych i negatywnych cech mojego narodu i to co pozytywne starać się wnosić w kulturę całego kontynentu, kulturę świata. Dziś wszyscy się stykamy z innymi narodowościami, zarówno z tak zwanymi „mniejszościami” wśród nas mieszkającymi, jak i z gośćmi z innych państw i wtedy powinniśmy godnie umieć okazać w praktyce, co w naszych narodowych cechach jest pozytywnego.

Szacunek dla jednostki ludzkiej jako takiej przygotowywał się już w Starym Testamencie. Można by o tym napisać osobny traktat. Nowy, pełny impuls dla takiego szacunku dał Jezus Chrystus. Jednostka została wyzwolona z niewoli rodziny i narodu, aby teraz jako wolna z własnej woli w prawidłowy, wolny sposób brać udział w ich życiu.

Nie dążmy do powrotu starych ustrojów gdy porządek utrzymywany był postrachem absolutnego monarchy i nieco tylko mniej absolutnej władzy rodzinnej. Dążmy do przyjmowania z wolnej woli zadań względem narodu i względem rodziny. To jest trudniejsze? Na pewno. Ale bez tego nie byłibyśmy uczniami Chrystusa. Bez tego nie byłoby postępu duchowego. Niech się jednostki duchowo martwe zajmują pochówkiem swoich umarłych, grzebaniem się w nacjonalizmach i kumoterstwach. My widzimy te same problemy, co i oni, ale staramy się je rozwiązać nie narzucając innym naszej woli, a sami starając się podporządkować przede wszystkim woli Bożej.

Pamiętajmy: wolność, to coś innego niż samowola.

*brat Paweł*

<sup>1</sup> W jednym z wyznań chrześcijańskich ten piękny symbol został ostatnio zarzucony. Dziecko podają tam do chrztu rodzice rodzeni. Ale to wyjątek w świecie chrześcijańskim.

<sup>2</sup> *Trzydniowe rekolekcje parafialne napisane przez Mateczkę w 1912 r.* - Płock 1924 s.46.

## DWA AFORYZMY

*Powiedział Pan do śmierci  
Czyż powinność swoją  
Albowiem dni twoje  
Już policzono*

*Rzekł Pan do mórz  
Nie bójcie się, gdy wstrzymam deszcz  
Albowiem żłobią już  
Swe ujścia rzeki łez*

Jan Stalony-Dobrzański

## DWA AFORYZMY

*Każdy chce się uczyć na swoich błędach, a nie na cudzych. Dlatego tak mało ludzi słucha dobrych rad.*

*Kiedy uciekniesz od ludzi - nazwą cię samotnikiem. Jeśli uciekniesz od siebie - nazywać cię będą tchórzem. Ale kim się staniesz uciekając od rzeczywistości?*

Honorata Korpikiewicz

## ANIOŁ TOMASZOWY

*Boże  
którego nie widzę  
choć sercem  
między gwiazdami szukam*

*Słowo  
którego nie dotykam  
choć wiatr wciąż słyszę  
trzepot skrzydeł cherubów*

*Baranku  
coś zniknął wśród stada Gabaon  
zostawiając na murawie  
utomek praśnika*

*co na Syonie  
otwierasz arkę  
a moje usta wypalasz  
kamieniem ognistym*

*na ołtarzu kadzenia  
szukałem Ciebie  
między kolumnami Świątyni  
nasłuchiwałem Twoich kroków*

*jedynie  
Twój anioł mnie dostrzegł  
który rzekł  
szczęśliwi ci  
co nie widzieli  
a uwierzyli*

*Tomasz Mames*

Ten wiersz ukazuje się jednocześnie w naszym aperiodyku i w tomiku: *Tomasz D.Mames Anielskie rozkosze* - Mińsk Mazowiecki 2004

## O CHARYZMATACH

### JAK ZWALCZAJĄ CHARYZMATY W KOŚCIELE?

1. Nazywają „charyzmatem” posługę pielęgniarki, lekarki, nauczycielki...
2. Zarzucają pychę wszystkim, którzy chcą służyć charyzmatami i ganią ich w ostrych słowach jako wprowadzających zamieszanie.
3. Tłumaczą, że tylko sakramenty są odpowiednimi środkami do zbawienia.
4. Próbują przestraszyć księży, że świeccy mający charyzmaty mogą im odebrać monopol na posługi w Kościele.

### JAK SIĘ WALCZY O CHARYZMATY?

1. Cytując Biblię
2. Po prostu ich używając
3. Miłością ofiarną
4. Naśladowaniem apostołów i świętych
5. Przyrównywaniem dostojników Kościołów do arcykapłanów i saduceuszy.

Jan Jasnorzewski

=====

przeżyć liturgię... ☪☪☪☪☪☪

## PRZYGOTOWANIE DO CZYTAŃ MSZALNYCH

Jak już pisaliśmy, pierwsza część Mszy Świętej - to część wstępna do właściwego przeżycia dalszych części misterium. Kapłan wraz z asystą i ministrantami, lub bez niej i bez nich, podchodzi przed ołtarz i najpierw u jego stóp prowadzi z biorącymi udział w nabożeństwie dialog opisany i objaśniony przez brata Mamesa w zeszytach 32 „Pracy” (s.17), czyli odmawia tak zwaną popularnie *ministranturę*. Mszał znajduje się wtedy na pulpicie „po stronie lekcji”, to znaczy po stronie prawej patrzącego na ołtarz. Gdy ołtarze były *orientowane*, czyli zwracane na wschód, była to strona południowa i do dziś liturgicznie nazywa się tą stroną ołtarza południową, nawet gdyby faktycznie była zwrócona na północ. Mszał - tymczasem spoczywający beczynnie - albo został przyniesiony przez ministranta wychodzącego razem z kapłanem odprawiającym czyli z *celebransem*, albo został położony na pulpicie już przedtem. Dawniej był otwierany dopiero przez kapłana lub właściwego duchownego z asysty na początku Mszy Świętej. Dziś w kościołach mariawickich jest od początku otwarty, co ma symbolizować fakt, że Chrystus już zdjął pieczęcie z księgi przyszłych dziejów i ją otworzył (Apokalipsa 5:1-3, 6-8). Celebrans lub ktoś z asysty postawił na ołtarzu kielich mszalny a nim patnęć z hostią (jeśli nie zostały one tam postawione jeszcze przed Mszą Świętą), czasem mogą tam też stać inne naczynia eucharystyczne z postaciami przeznaczonymi do konsekracji. Sam kielich i patena są jednak tymczasem niewidoczne, przykryte *welonem* - chustą tego samego koloru co wierzchnia liturgiczna szata kapłańska - *ornat* - tak, aby nie były widziane przez uczestników. Również dodatkowe naczynia eucharystyczne powinny być ukryte za welonem (czasem nie sposób uniknąć tego, że nieco wystają). Pierwsza część Mszy Świętej polega bowiem na liturgicznym dialogu oraz słuchaniu. Patrzenie na naczynia i postacie liturgiczne - to będzie właściwe dalszym jej częściom. Tymczasem wzrok spoczywa na ornacie celebransa, który - podobnie jak welon na kielichu - jest barwy wyrażającej nastrój liturgiczny danej Mszy Świętej.

W wielu tradycyjnych chrześcijańskich obrządkach naczynia eucharystyczne są przynieszone procesjonalnie, uroczą się na ołtarz dopiero na ofiarowanie, co jeszcze silniej akcentuje fakt, że pierwsza część Mszy Świętej polega przede wszystkim na dialogu i słuchaniu. Tak odprawiano dawniej uroczyste Msze trydenckie. Tak odprawiali również pierwsi mariawici. I dziś nie ma podstaw teologicznych, aby tego zwyczaju nie stosować. Wygaśł on jednak w historii mariawickiej liturgiki ze względów praktycznych, nie przedłużania obrzędów o jeszcze jedną oddzielną czynność - czasochłonną, jeśli ją praktykować uroczyście. Można oczywiście naczynia liturgiczne przynieść na ołtarz w sposób prosty, jak to zostało wprowadzane w różnych, wymyślanych dowolnie przez ludzi, zwyczajach tak zwanych wolnych kościołów od połowy XIX wieku, a potem się przyjęło również w kościołach ewangelickich i - ostatnio - w obrządku rzymskim. My uważamy jednak, że tam, gdzie można, należy zachować również zewnętrzne objawy szacunku do wszystkiego, co się łączy z Eucharystią. Tak więc z reguły na mariawickich liturgicznych Mszach Świętych spotkamy naczynia eucharystyczne postawione z szacunkiem na ołtarzu od początku, ale przykryte tymczasem welonem.

Po odmówieniu ministrantury kapłan podchodzi do ołtarza i biorąc kadzielnicę milcząco okadza ołtarz, przy którym ma sprawować dalsze obrzędy. Najpierw, jeśli na ołtarzu jest wystawiony Przenajświętszy Sakrament kłęcząc okadza zdalą monstrancję, potem z bliska już okadza ją lub (jeśli nie ma wystawienia) krucyfik stojący na środku *syjonu* (podwyższeniu za płytą ołtarzową na którym są umieszczane *tabernakulum*, tron dla monstrancji lub krucyfiksu, zaś wokół nich kwiaty, a bliżej - świece). Następnie okadza dalszą i bliższą stronę *mensy* ołtarzowej (deski odkrytej obrusem mszalnym) najpierw po stronie lekcji, potem Ewangelii, i na ostatku dolną część ołtarza - *antepedium*. W ten

sposób wydziela kapłan z całego pomieszczenia tę część przestrzeni, w której ma następnie zadziałać liturgicznie. Często - we Mszach Świętych nieuroczystych - okadzenie się pomija.

Po okadzeniu lub - jeśli go nie było - bezpośrednio po odmówieniu ministrantury kapłan podchodzi do mszału i robiąc po raz pierwszy z niego użytek, odczytuje *wstęp* (z łaciny zwany *introitem*) będący wprowadzeniem do nastroju danej Mszy Świętej.

Następnie kapłan na przemian z ministrantami lub z wszystkimi uczestnikami w dziewięciokrotnym rytmie odmawia „Panie zmiłuj się” - „Chryście zmiłuj się”... Czasem te wezwania śpiewa chór, lub wszyscy wierni. Taki dziewięciokrotny rytm (3 x 3) występuje przy początku wielu tradycyjnych liturgii chrześcijańskich, często stowarzyszony z innymi słowami. Na przykład przy początku prawosławnej liturgii św. Jana Złotoustego, pochodzącej z IV wieku po Chrystusie, w takim dziewięciokrotnym rytmie śpiewa się tak zwany *Trysagion* czyli „Święty Boże”. Dziś, gdy większość ludzi przestała wierzyć w działania anielskie, kiedy „aniołki” stały się od dawna raczej dekoracjami gzymsów kościelnych i ozdobnikami niewybrednych modlitewników, ten rytm wydaje się czymś niezrozumiałym. Kiedy jednak ludzie wiedzieli jeszcze, że aniołowie są istotnymi naszymi pomocnikami, nieraz pośrednikami pomiędzy nami a niedostępną naszymu rozumowi Trójcą Świętą, kiedy pamiętano, że jest dziewięć chórów anielskich, owo rytmiczne dziewięciokrotne wezwanie było świadomym wezwaniem do Trójcy Świętej niesionym przez anielskie chóry.

Co znaczą słowa >>Panie zmiłuj się<<? Jest to tłumaczenie greckiego >> *κυριε, ελεησον* << (*Kyrie, eleeson* = *Panie, okaż zmiłowanie* lub *Panie, zmiłuj się*). To wezwanie trzeba odróżnić od >> *κυριε, ελεησον με* <<, odpowiadające polskiemu >> *Panie, zmiłuj się nade mną* << czy podobnych form: >> zmiłuj się nad nimi <<, lub >> nad nami <<, jak to jest na przykład we wspomnianym już *Trysagionie* „Święty Boże”, gdzie prosimy o zmiłowanie właśnie nad nami. Tu, we Mszy Świętej nie precyzujemy odbiorcy zmiłowania. Prosimy o zmiłowanie, o objęcie litością wszystkiego: i nas samych i innych ludzi i wszystkiego stworzenia. Niektóre języki ze względów estetyczno - gramatycznych nie mogą pozostawić wezwania „zmiłuj się” bez bliższego określenia nad kim Bóg ma się zmiłować. Dlatego na przykład w rzymskim mszale łacińskim (zarówno trydenckim jak i obecnym „posoborowym”) pozostawiono bez tłumaczenia greckie „*κυριε, ελεησον*”. Podobnie z tym wezwaniem postąpili francuscy prawosławni. Tłumaczenia mszałów rzymskich na niektóre współczesne języki poszły inną drogą i przyjęły zawężoną znaczeniowo, grupowo egoistyczną formę >> *Panie, zmiłuj się nad nami* << W polskim, mariawickim mszale będącym tłumaczeniem mszału trydenckiego, korzystając z giętkości polskiego języka udało się zachować pierwotną treść greckiego wezwania w poprawnej gramatycznie polskiej formie >> *Panie, zmiłuj się* <<.

Pamiętajmy: gdy na początku mariawickiej Mszy Świętej na przemian z kapłanem - lub wraz z nim - wnosimy prośbę o zmiłowanie: najpierw do Pana (Ducha Świętego), potem do Chrystusa i znów do Pana (tym razem do Ojca Niebieskiego), wtedy tę dziewięciokrotną prośbę o okazanie zmiłowania nie tylko dla nas, i nie tylko dla wszystkich ludzi, ale dla wszelkiego stworzenia, kładziemy na skrzydła trzech hierarchii anielskich - każda grupująca po trzy chóry. Łączymy w ten sposób naszą modlitewną służbę dla świata z podobną służbą anielską.

Tu drobna uwaga: Historycy liturgii wskazują na to, że wezwanie „*Panie, zmiłuj się*” pochodzi z dawnych, długich modlitw mszalnych, gdzie je powtarzano nie dziewięć, ale znacznie więcej razy, jak to jest dotąd w obrządkach wschodnich. Tak więc odpowiada ono nie bizantyjskiemu *Trysagionowi* - jak to wyżej napisałem - lecz raczej jednej z mszalnych litanii. Mnie jednak, pisząc te wyjaśnienia, nie idzie o to, jakie jest pochodzenie i historia danej formy mszalnej, ale jaką funkcję ona przyjęła. I w tym sensie rola dziewięciokrotnych (3 x 3) wezwań o zmiłowanie odpowiada roli bizantyjskiego *Trysagionu* z jego dziewięciorgiem (3 x 3) wezwań. Natomiast gdyby szło o historię liturgii, to warto by jeszcze zauważyć, że w niektórych współczesnych obrządkach, mających wspólne pochodzenie z liturgią trydencką, dziewięć wezwań o zmiłowanie skurczyło się do sześciu lub tylko do trzech. Oczywiście, że wtedy ich funkcja stała się jeszcze inna. Ale to nas tu nie interesuje.

Po tych dziewięciu wezwaniach przeważnie w mariawickiej Mszy Świętej śpiewa się lub odmawia stary chrześcijański *Hymn Anielski* zaczynający się od słów anielskiego zwistowania pasterzom >> *Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli* << (Łukasz 2:14). Aniołowie zanieśli wpierw naszą prośbę Bogu, a teraz przynoszą nam - jako radosną odpowiedź - zapewnienie, że chwała Boża jest tak wielka w wyższych światach, że obejmuje swoim pokojem również nas, ludzi na ziemi mających dobrą wolę. Ów hymn w oryginalnym obrządku trydenckim (na przykład kultywowanym przez Bractwo Piusa X) odmawiany jest tylko w dni świąteczne. Mariawici rozciągnęli jego odmawianie na większość dni w ciągu roku, co się wiąże z przekonaniem, że każda Msza Święta jest w jakimś sensie „świąteczna”, zwłaszcza jeśli na ołtarzu jest wystawiony Przenajświętszy Sakrament. We Mszy Świętej odprawianej w „obrzędku niższym” (Low Church) Kościoła Anglikańskiego, aż do czasów liturgicznej reformy w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, odmawiano ów hymn podczas każdej Mszy Świętej, także w dni powszednie, ale nie na początku, lecz dopiero po Komunii Świętej. Tłumaczono to w ten sposób, że dopiero teraz właśnie, gdy

przyjęliśmy Boga do swego wnętrza jest właściwy moment aby Go chwalić, aby Mu zanościć dziękczynienia. W latach siedemdziesiątych przeniesiono go jednak znów na pierwotne miejsce, zaraz po wezwaniach o zmiłowanie (z tym że teraz może, ale nie musi być zawsze odmawiany). Zaważył tu argument, że Boga trzeba chwalić nie czekając, aż On nam wpięć coś da, jak i przypomnienie sobie, że wzięte z Ewangelii słowa „*Chwała na wysokościach...*” nie narodziły się jako ludzkie wychwalanie Boga, dziękowanie mu za coś, ale jako anielskie posłannictwo o Bożej chwale.

Po odmówieniu lub odpiewaniu *Hymnu Anielskiego* celebrans po raz pierwszy obraca się ku wiernym. Robi to od środka ołtarza, lub - jeśli jest na tronie wystawiony Przenajświętszy Sakrament - nieco z boku od strony Ewangelii, i rozłożywszy błogosławiącym gestem ręce wypowiada słowa „*Pan z Wami*”, na co wierni odpowiadają „*i z duchem twoim*”. W tym momencie celebrans nie jest przez chwilę reprezentantem wiernych wobec Boga, lecz staje się zwiastunem spraw Bożych wobec pozostałych uczestników. Dlatego staje nie po „czynnej” stronie ołtarza - stronie lekcji, lecz pośrodku lub nieco po stronie „biernej” - stronie Ewangelii. Głęboka treść tego krótkiego dialogu została omówiona w pierwszym odcinku „*Przeżyć liturgię*” (zeszyt 32. s.17).

Następnie celebrans przechodzi na stronę lekcji i tam odczytuje głośno jedną lub dwie modlitwy związane z istotą uroczystości danego dnia oraz - w niektórych przypadkach - z intencją mszalną. Te modlitwy poprzedzone są wezwaniami do wszystkich „*Módlmy się*”. A po odczytaniu każdej modlitwy wierni lub w ich imieniu ministrant odpowiadają „*Amen*”. Kapłan stojący po „południowej” - czynnej stronie ołtarza reprezentuje bowiem znów wszystkich biorących udział w nabożeństwie ołtarza pomyśleliśmy o pozostawieniu tkwiącego w nas człowieka „zdradliwego i niesprawiedliwego” na uboczu, choćby tylko na czas Mszy Świętej. Wzniesiliśmy się myślą do sensu naszego udziału w nabożeństwie (wstęp). Zanieśliśmy wraz z aniołami prośbę o zmiłowanie. Usłyszeliśmy odpowiedź anielską o chwale Boga. Wraz ze wszystkimi zebranymi zanieśliśmy wstępne modlitwy. Jesteśmy teraz przygotowani do przysłuchania się czytaniu Pisma Świętego i przemysleniu jego treści czytanie będzie tematem kolejnych rozważań.

bratPawel

Artykuł dyskusyjny

## CZY NASZEJ CYWILIZACJI GROZI KATAKLIZM ?

Że Mateczka w objawieniach widziała zbliżające się czasy ostateczne, ale nigdzie w tym, co z tych objawień własnoręcznie zapisała, nie użyła wyrażenia „koniec świata”, to każdy może łatwo sam sprawdzić. Ze w Piśmie Świętym wyrażenie „czasy ostateczne” oznacza nie tylko koniec fizycznego bytowania obecnej Ziemi, ale również wszelkiego rodzaju czasy przełomowe, takie jak powrót Izraelitów z niewoli babilońskiej, lub narodzenie Chrystusa, o tym pisano wystarczająco dużo, nie będę więc tutaj podejmowała tych wątków. Natomiast chcę się zastanowić o jakiego rodzaju ostatecznych czasach, a więc końcu jakiejś epoki i początku innej mówią objawienia dane Mateczce. Co się z tego już wydarzyło, co stoi jeszcze przed nami. Taka refleksja ważna jest choćby z tego powodu, że objawienia mówią wyraźnie o możliwym ratunku dla świata, a więc o jakimś istotnym niebezpieczeństwie, które wymaga ratunku, oraz że ten ratunek jest możliwy. Zmiana epok, czasy przełomowe określone w objawieniach Dzieła Wielkiego Miłosierdzia jako czasy ostateczne, przedstawione są jako nadciągający kataklizm, przed którym jednak istnieje ratunek. Rozważania tego ratunku, czym on jest, jakie powinno być jego przyjęcie, są główną treścią Dzieła Miłosierdzia. Chyba jednak dobrze będzie choćby raz pomyśleć, czym jest owo zapowiedziane niebezpieczeństwo, przed którym ratunku szukamy.

Zastrzegam się, że prorokinią nie jestem i to są tylko moje ludzkie rozważania. Będę wdzięczna za wykazanie ich błędów i słabych punktów oraz za wszelkie uwagi.

Jest charakterystyczne dla wszystkich prawdziwych objawień, że ich treści mogą się spełniać wielokrotnie. Pewne treści objawień Dzieła Miłosierdzia spełniły się już za życia Mateczki. Oto w roku 1902 Mateczka ma objawiony pokój dla całej Ziemi, jeśli ta przyjmie Miłosierdzie (*Początek Zawiązku* akapit 64, *Dzieło Miłosierdzia* s.33). Większość świata objawienia Dzieła Miłosierdzia nie chce przyjąć więc, w roku 1907 Mateczka ma następne objawienie, że będzie wojna ogólnoswiatowa (*Wyjątki z objawień* akapit 50, *Dzieło Miłosierdzia* s.53). Mateczka w odpowiednim czasie każe przygotować uczestników Dzieła Miłosierdzia do tej wojny przez szczególne rekolekcje prowadzone po kolei w mariawickich parafiach. Właśnie

zadano przeprowadzić wszędzie te rekolekcje, gdy I wojna światowa staje się rzeczywistością. Tuż po jej zakończeniu w sierpniu 1918 Mateczka otrzymuje ostatnie objawienia spośród zapisanych przez nią własnoręcznie. Czy to znaczy, że „czasy ostateczne” już przeszły? Niewątpliwie z I wojną światową coś się w świecie zmieniło. Była to jakaś pierwsza realizacja i demonstracja prawdziwości objawień Dzieła Miłosierdzia. Historia pokazała czym grozi odrzucenie Dzieła.

Ale wiemy, że nastąpił dalszy ciąg. II wojna światowa była większym kataklizmem od pierwszej, i to zarówno co do liczebności armii biorących udział, co do liczby ofiar, jak i co do miary popełnianych okrucieństw. Niektórzy zwracają uwagę, że przed jej rozpoczęciem pojawiło się nieśmiało powtórzenie objawień Dzieła Miłosierdzia (święta Maria Faustyna), wówczas również nie przyjęte. Ale dla wszystkich jest jasne, że i ta druga wojna to jeszcze nie koniec powszechnych zbrojnych zmagania.

Gdy to piszę, umacnia się nowy światowy czynnik zbrojny - terroryzm. Następują pierwsze jego zwycięstwa: decyzje całych państw naginają się do życzeń terrorystów reprezentujących przeciwieństwo tylko małolicebne grupy fanatyków. Wola uzbrojonych jednostek zaczyna podporządkowywać sobie świat. Nie wiemy jaki będzie rozwój i koniec tego procesu. Ale przypuszczam, że się da to niebezpieczeństwo w jakiś sposób opanovać. Czy to znaczy, że nasza epoka kulturowa będzie już miała pokojowe zakończenie, że w łagodny sposób przeprowadzi ludzkość do następnej epoki?

Chcę tu powiedzieć o rzeczach, które mnie martwią od dawna, a które ludzkość zaczyna obecnie ledwie w minimalnym stopniu odczuwać. Myślę o wyniszczaniu zapasu materiałów kopalnych.

\* \* \*

Jeszcze tysiąc lat temu wykorzystywanie złożów kopalnych było wyjątkiem. Raczej zbierano to, co ziemia sama wydała. Wprawdzie kopalnie istniały od dawna. W południowej Polsce zachowały się podziemne chodniki górnicze, z których przed tysiącami lat wydobywano bryły krzemienia dla wyrobu z nich kamiennych narzędzi. Pradawne są pierwsze kopalnie soli kamiennej. Ale przemysł górniczy był przez tysiąclecia czymś wyjątkowym. Nawet powstanie narzędzi miedzianych, a potem żelaznych nie spowodowała istotnego penetrowania wnętrza ziemi.

Byłoby śmieszne pytać, czym ogrzewali swoją sadybę prarodzice w Raju, a więc czy i jak palił ogień. Natomiast Biblia opisuje, że tuż po wygnaniu z Raju ludzie rozpalają ogniska dla złożenia ofiar Bogu. Oddaje to prawdę historyczną, iż ogień - powiązany we wszystkich kulturach z *sacrum* - (u nas świece na ołtarzu, znicze i lampki na cmentarzu) był pierwotnie używany tylko do celów religijnych. Dopiero po całkowitym przebrzmieniu epoki rajskiej ośmielono się go użyć również do celów świeckich - do oświetlania (pochodnie, łuczywa, potem świece) i ogrzewania (ogniska, paleniska domowe, piece). Paliwem były z początku wyłącznie materiały roślinne (suche gałęzie, pnie drzew...) lub zwierzęce (wosk, łój, wyschnięty nawóz krowi...). Choć dziwna ciecz dająca się spalać - nafta jest wspomniana już w Starym Testamencie, paliwa mineralne - takie jak ona lub węgiel kamienny - były raczej ciekawostką niż materiałami użytecznymi. Spalano prawie wyłącznie to, co się mogło odnowić w ciągu najbliższych lat w lasach i na polach.

Nowa sytuacja powstała w ostatnich wiekach wraz z wynalezieniem silnika parowego, silnika spalinowego, wraz z rozwojem nowoczesnego hutnictwa. Teraz paliwo stało się potrzebne nie tylko do oświetlania i ogrzewania, ale do poruszania maszyn, do transportu. W wyniku tego zaczęły być potrzebne coraz większe masy paliw mineralnych - węgla kamiennego (i brunatnego), ropy naftowej i gazu ziemnego - wydobywane nie tylko z powierzchniowych, ale i coraz głębszych pokładów geologicznych

O ile jeszcze w epoce renesansu nikt nie musiał myśleć na jak długo starczy zapasów diamentów, złota, czy rudy żelaznej, o tyle w wieku XX wypadło już postawić pytanie, na jak długo wystarczy złóż węgla kamiennego i ropy naftowej, jakie kryje Ziemia. Odpowiedź była: węgla starczy (przy ówczesnym użyciu) na około tysiąc lat, ropy na lat sto kilkadziesiąt, może - jeśli się odkryje nowe, bogate złoża - na paręset. Nie wiem dlaczego większość ludzkości rozumiała to jako odpowiedź pomyślną. A przecież to znaczy, że złoża ropy naftowej, które się odkładały w ziemi przez miliardy lat, my zamierzamy zużyć w ciągu kilku pokoleń, a złoża węgla - przez pokolenia kilkadziesiąt.

Co potem?

Ostatnio mogliśmy się dowiedzieć z mediów, że właśnie się wyczerpują najbogatsze złoża naftowe w Arabii Saudyjskiej. W ciągu kilkadziesiąt lat nie będzie już można z nich

korzystać. Politycy przewidują poważne konsekwencje tego. Arabia Saudyjska jest centrum islamu. Tu leżą święte miasta Mekka i Medyna, a co ważniejsze tu jest największe zagęszczenie fanatyków islamskich, przyzwyczajonych do zamożności (z eksportu ropy), zaś nie przyzwyczajonych do pracy. Światła dynastia saudyjska panuje nas sytuacją, póki starcza naftowych pieniędzy. Gdy ich zabraknie, pewnie się zaczną rozruchy. Można przewidzieć kto wtedy obejmie władzę, kto będzie kontrolował święte stolice islamu.

Te obawy polityków są niewątpliwie słuszne, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę związki światowych terrorystów z islamskimi fanatykami. Ale warto pomyśleć o czymś głębszym. Gdy zabraknie ropy saudyjskiej, pozostanie inna: arabska, iracka, amerykańska, azjatycka, podmorska... Ale po kolei zaczną się wyczerpywać i te inne złoża. My już tego nie dożyjemy, ale dożyją wnuki naszych dziś bawiących się koło nas dzieci. To wcale nie tak długo. Po prostu zacznie brakować ropy. Obecna nasza cywilizacja przyzwyczajona do łatwego podróżowania, przerzucania się z miejsca na miejsce przeżyje szok. Pozostanie węgiel (pociągi i statki można uruchamiać elektrowniami węglowymi lub wprost silnikami parowymi), ale zwiększenie wydobycia węgla przyspieszy wyczerpanie również jego zasobów. Pozostanie energia jądrowa? Tak, tylko że elektrownie atomowe już teraz - przy natężającym się terroryzmie - stają się niebezpieczne. W dalszej przyszłości nie będą mogły być zbyt licznie rozbudowywane. Zbombardowanie kilku elektrowni jądrowych w kraju o powierzchni Polski, to uczynienie go niezdatnym do zamieszkania na długie dziesiątki, jeśli nie setki lat, a przy tym spowodowanie skażenia - w jakimś stopniu - całej Ziemi. Do tego problem składowania atomowego „żużlu” wydaje się coraz mniej możliwym do rozwiązania. Oparcie energetyki na przemianach jądrowych zamiast na ropie naftowej, byłoby pomysłem szalonym.

Jakie byłoby rozsądne wyjście? - Zrezygnowanie z wszelkiego niekoniecznego transportu (jedzcie, co w waszym kraju rośnie) z wszelkich niekoniecznie potrzebnych podróży (wolne dni spędzajcie w domu). Zrezygnowanie z rozwoju energochłonnego przemysłu. Opuszczenie przez mieszkańców obszarów, które się dadzą zamieszkiwać tylko przy sztucznej klimatyzacji lub przy bardzo intensywnym ogrzewaniu. Przystawienie się na siłę pociągów koni i wołów; na statki żaglowe. Wykorzystanie do przemysłu siły wody i wiatru, a do ogrzewania tego, co potrafi się regenerować w ciągu niewielu lat, a więc drewna i roślinnego oleju. To wszystko wymagać będzie zarazem ograniczenia liczby ludności. Nie myślę oczywiście o brutalnych metodach chińskich ograniczania płodności matek, ani innych podobnych. Wyjście tu byłoby w podniesionej świadomości ludzkiej, we wzmożonej odpowiedzialności do wydobycia zasobów, czy jest możliwe? Aby przeprowadzić taki plan, trzeba by skłonić wszystkich do ograniczenia swoich potrzeb. Czy to znaczy, że i zamożni i najbiedniejsi mieliby w tym samym procencie ograniczyć swoje potrzeby? Najbiedniejsi już nie mają czego ograniczać. A więc raczej zamożni powinni się ograniczyć do poziomu potrzeb biednych? Spróbujmy ich namówić, aby zrobili to dobrowolnie...

Chciałabym nie prorokować zła, ale widzę, że wcześniej czy później wyniknie zamieszanie i walka. Może jeszcze znajdują się jakieś nowe źródła energii. Może to wszystko, o czym piszę, nastąpi nie za sto lat, ale za tysiąc, może za kilka tysięcy. Jednak w dającym się wyobrazić, stosunkowo niedługim czasie widzę walkę tych, co skupią w swoich rękach ostatnie zapasy energetyczne Ziemi z tymi, którzy będą mieli gorsze warunki do przetrwania. Widzę również walkę tych możnych pomiędzy sobą, wyniszczającą walkę obejmującą całą Ziemię, na której pozostanie maleńka grupka ludzi mogąca utworzyć nową cywilizację po samozniszczeniu naszej, tak jak ongiś maleńka grupka wyszła z cywilizacji lemuryjskiej (rajskiej) i rozwinęła się w cywilizację atlantycką, i jak potem po zagładzie Atlantydy (potop) mała grupka zbudowała cywilizację naszą, zwaną też poatlantycką.

Czy taki musi być koniec naszej cywilizacji? Jeśli ludzie będą dążyć do coraz większego dobrobytu i mnożenia dóbr materialnych, to tylko taki. Jeśli się opamiętają i zaczną więcej dbać o rozwój duchowy niż o dobrobyt, to będzie możliwe świadome samoograniczenie w wykorzystywaniu dóbr, które się nie odradzają, aż do całkowitego zaniechania ich zużywania. Stanie się wtedy możliwe poprowadzenie dziejów drogą spokojnej ewolucji do przyszłej cywilizacji, w której resztki ropy naftowej i węgla będą pozostawione jako cenne pamiątki dawnych epok ewolucji Ziemi, a organizacja życia będzie oparta na całkiem innych podstawach.

To dałoby się streścić słowami: >>Pokój całej Ziemi jeśli przyjmie Miłosierdzie<< (*Początek Zawiązku* akapit 64, *Dzieło Miłosierdzia* s.33).

Nie wymyślałam tego wszystkiego sama, tylko zebrałam w jedną całość o czym piszą zachodnie czasopisma już od dziesięcioleci i powiązałam z tym, co od stukilkunastu lat głosi mariawityzm. Nie jestem też prorokinią. Za ludzkie uwagi będę wdzięczna.

Tatiana Romenko

=====

RECENZJE, POLEMIKI 

## POCZĄTEK ROKU LITURGICZNEGO

Tym razem jest to polemika z wypowiedzią naszej redakcji, której jestem członkiem, czyli pewnego rodzaju polemika redakcji z redakcją, samej ze sobą, a zarazem dopełnienie odpowiedzi dla *byłego studenta*. z zeszytu 33 „Pracy” (s. 31). Otóż *były student* sprzeciwiał się tam redakcyjnemu przypisowi do artykułu Antona Kimpflera, w którym było stwierdzenie, że początek roku liturgicznego został w mariawityzmie przeniesiony na Wielki Czwartek. *Były student* powołując się na układ *Mszалу Eucharystycznego* i drugiego wydania *Brewiarza Eucharystycznego* twierdził, że początek mariawickiego roku liturgicznego, to Niedziela Wielkanocna. Nasza odpowiedź redakcyjna była pewnego rodzaju obroną Wielkiego Czwartku, ale bardzo nieśmiało, powołującą się na pewne zaistniałe zwyczaje liturgiczne. Za tę odpowiedź, przez nikogo innego imiennie nie podpisaną, jestem odpowiedzialny jako redaktor wykonawczy „Pracy”, niezależnie od tego, kto ją sformułował.

Otóż w kilka tygodni po ukazaniu się zeszytu 33 „Pracy”, pracując przy III wydaniu *Brewiarza Eucharystycznego* i przygotowując do druku wyjątki z przedmowy do wydania I, znalazłem tam taki tekst:

*W końcu zaznaczamy, że Rok nasz Kościelny rozpoczyna się od Wielkiego Czwartku, co się tyczy Świąt ruchomych, co się zaś tyczy Świąt stałych, to, Jak to Mateczka nam mówiła, mamy rozpoczynać od miesiąca Sierpnia [...], gdyż w nim dokonany się wszystkie główne tajemnice Dzieła Miłosierdzia Bożego dla świata. [...]*

✠ Jan M. Michał<sup>3</sup> Abp. d. 11 Listopada 1923 r. przy Świątyni Miłosierdzia i Miłości<sup>1</sup>. [znaki przestankowe i wielkie litery według oryginału]

W 1923 roku arcybiskup Jan. M. Michał był niekwestionowanym zwierzchnikiem niepodzielonego jeszcze Kościoła Mariawitów. Jest to więc oficjalne stwierdzenie o przyjętym początku roku kościelnego. Ani w gałęzi felicjanowskiej, ani w płockiej Kościoła Mariawitów to stwierdzenie przez żadną władzę nie zostało przeformułowane, zmienione. Pozostaje więc ważne do dziś. A więc już nie domniemanie oparte na takim czy innym układzie mszału, czy brewiarza, takim czy innym zwyczajowi kościelnym, ale oficjalne stwierdzenie zwierzchnika Kościoła rozstrzyga ostatecznie dyskusję. Nasza redakcja miała pełne prawo powiedzieć, że mariawicki rok kościelny rozpoczyna się od Wielkiego Czwartku, należało tylko dodać „co się tyczy świąt ruchomych i rocznego cyklu niedziel na tych świątach opartego”. Oczywiście nadal można, a nawet, po odnalezieniu tego oficjalnego stwierdzenia, tym bardziej trzeba dziękować *byłemu studentowi* za zwrócenie nam uwagi na brak precyzji w naszej wypowiedzi, co też w imieniu redakcji oficjalnie czynię.

brat Paweł - Redaktor Wykonawczy

<sup>1</sup> *Brewiarz Eucharystyczny czyli Święte Oficjum ku czci Przemajów. Sakramentu na wszystkie dni roku rozłożone.* Płock 1923 r. s. 16 i 17.

=====

### ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Paweł - **O co prosić przy spowiedzi?** - s.1  
Anton Kimpfler - **Zmartwychwstać z Chrystusem** - s.3  
były student - **O kardynale Newmanie i papieżu Leonie XIII** - s.6  
Jan Stalony-Dobrzański - **Dwa aforyzmy** - s.18  
Honorata Korpikiewicz - **Dwa aforyzmy** - s.18  
Tomasz Mames - **Anioł Tomaszowy** - s.19  
Jan Jasnorzewski - **O charyzmatkach** - s.20  
Tatiana Romenko - **Czy naszej cywilizacji grozi kataklizm** - s.25

### DWUGŁOS O SZANOWANIU RODZICÓW

brat Józef - **Poszanowanie przodków** - s.10



brat Paweł - Szacunek dla rodziców - s.14

**PRZEŻYĆ LITURGIĘ**

brat Paweł - Przygotowanie do czytań mszalnych - s.20

**RECENZJE, POLEMIKI:**

brat Paweł - Początek roku liturgicznego - s.30